

WIADOMOŚCI POLSKIE

PRENUMERATA.

Na rok. fr. 20
Na pół roku. . . . fr. 10
Na trzy miesiące. . . fr. 5
Dziennik wychodzi co tydzień,
W SOBOTE.

N^o 4.

DNIA 24 STYCZNIA 1857 ROKU.

Wszelkie zgłaszania się ty-
czące się prenumeraty lub nie-
odbierania niniejszego pisma,
tudzież przysyłanie pieniędzy,
mają być adressowane : a
M. J. Szczepanowski, 8, rue
Vaugirard, à Paris.

Historja niewskaże podobno przykładu aby w jakim-
bądź wieku, który rząd, w czasach najsroźszego prze-
śladowania religijnego, używał tyłu i tak różnorodnych
środków dla wprowadzenia, jednego w państwie swém
kościola, jak rząd rossyjski od czasów Katarzyny, a mia-
nowicie za panowania Mikołaja. Jeśli bywało, że ten lub
ów monarcha pogański, katolicki lub protestancki gwał-
tem i okrucieństwem chciał nawracać, to już otwarcie
zrucił z siebie maskę obłudy. Rządowi rossyjskiemu
danem było dopiero, w kwestyi religijnej chwycić się
wszystkiego co nastręcza despotyzm i co podsuwa zepsu-
cie. Kara śmierci lub łaska cesarska, sybir lub dostatnie
uposażenie, wyrafinowane prześladowanie lub niemniej
wyrafinowane zachęty; gwałt lub podejście, groza lub
pochlebstwo, więzienie lub dekoracye, konfiskata lub
przekupstwo, palki lub awanse, (a każde z tych słów
usprawiedliwimy, jeśli trzeba, szeregiem faktów); wszy-
stko zgola co służy ku złamaniu, zastraszeniu lub spode-
rniui natury ludzkiej, wchodziło jako zwyczajna sprężyna
do tego dramatu, który rząd rossyjski odgrywa w rze-
czach wiary i kościoła, w polskich prowincyach. Pełna
to łez i krwi historia, jękiem i przekleństwami dręzo-
nych ofiar wypowiedziana. A jeśli który z tych jęków
przedarł się przez obojętność Europy błogich wczorów
używającej, czyż brakowało Rossyi tyłu wyrozumiałości
w Europie dzienników i pisarzy? Kiedy zaś i ten środek
niewystarczył ku uciszeniu zgrozy, uciekała się Moskwa
do tradycyjnej polityki, rozpoczynając jakoby skutkiem
zmiany systemu, negocyacye z Stolicą Śtą.

Po głośniejszej w swoim czasie allokucyi Grzegorza XVI
(1842 r.) wypadało rządowi rossyjskiemu pokazać że pra-
gnie wejść w dobre z Rzymem stosunki. Rozpoczęły się
więc umowy i po kilkuletniem ich trwaniu zawarto w r.
1847 konkordat. Odnosi się on głównie do liczby dyce-
zyj, do nominacyi i władzy biskupów, zapewnia im kie-
runek w seminaryach, wpływ w akademiach duchow-
nych, ubezpiecza utrzymanie świątyń rzymsko-katoli-
ckich. Były to, w obec tak wielkiego ucisku i klęsk, zbyt
małe korzyści dla kościoła, i Stolica Apostolska ogłasza-
jąc ten konkordat (Lipiec 1848 r.), niezapomniła ostrzedz
że dał ze negocyacye mają go dopiero uzupełnić. W ja-
kich punktach, uwiadamia nas allokucya Piusa IX.

« Wiele jeszcze spraw i niezmierniej wagi pozostaje do
» przeprowadzenia aby cel zamierzony osiągniętym zo-
» stał, lecz sprawy te niemogły być ułożone w negocya-
» cyach a wielce nam leżą na sercu; tyczą się bowiem
» jak najżywniej wolności, praw i interesów kościoła i
» zbawienia wiernych mieszkających w tamtych krajach.
» Chętny tu mówić, przewielebni Bracia, o prawdziwej

» i zupełnej wolności jaką otrzymać pragniemy dla wier-
» nych w owych krajach, aby we wszystkich religijnych
» rzeczach odwoływać się mogli bez przeszkody, do Sto-
» lic, Apostolskiej.... Mówimy tu o dobrach, które duchow-
» ństwu przywrócić należy; mówimy o człowieku
» świeckim, którego rząd wybiera i posła na zgromadze-
» nia biskupie, o konieczności usunięcia go ze zgromadzeń
» aby biskupi używali należnej sobie wolności; mówimy
» o ustawie na mocy której małżeństwa mieszane wten-
» czas tylko za obowiązujące są uznane, gdy je ksiądz
» niekatolicki grecko-rossyjski błogosławi; mówimy o
» wolności jakaby katolikom przynależać powinna, aby
» sprawy małżeńskie wraz z małżeństw mieszanych, od-
» dawać mogli pod sąd i rozbiór trybunałów duchownych
» katolickich; mówimy o różnych ustawach obowiązują-
» cych w krajach cesarstwa rossyjskiego, na mocy któ-
» rych oznaczono wiek w jakim jedynie przyjętym być
» można do zawodu duchownego, na mocy których zmie-
» nia się do szczytu szkoły w klasztorach, oddalono zupeł-
» nie z klasztorów przełożonych i prowincjonalnych, i za-
» kazano wszelkiego nawrócenia na wiarę katolicką. »

Przypomna nadto Papież, « że wielka liczba synów
sercu naszemu tak drogich, należących do świętego rodu
Rusinów », w skutek zbrodniczego i na wieki oplaka-
nego odstępstwa kilku biskupów, pozbawiona jest swych
pasterzy i kierowników mogących wzmacniać ich pokar-
mem duchowym, strzedz przed podstępniemi obietnicami
i zachować od sidła jakie na nich stawiają zli ludzie, my
dodamy: zły rząd. W końcu uwiadamia Ojciec Śty że
hr. Bludow, pełnomocnik rossyjski przyrzekł poprzeć
jego żądania u Cesarza rossyjskiego i udzielić objaśnień,
które w oddaleniu na piśmie wytłumaczyć się niedadzą.

Ale tak te żądania jak zawarty konkordat nietylko nie-
weszły w egzekucyę, niebyły nawet w krajach rządowi
rossyjskiemu podległych ogłoszone. Nikt, o ile wiemy,
nie dostrzegł tam żadnego ich skutku. Po dawnemu, kole-
gium petersburskie z ujmą biskupiej władzy trzymało ster
w sprawach duchownych; po dawnemu duchowieństwo
wyzute było z swęj własności. Po dawnemu, a wbrew
podpisanej umowie, seminarya wyłączone były z pod za-
rządu biskupów, kapituły *de facto* zniesione, wstęp do sta-
nu kapłańskiego coraz bardziej utrudniony, zakony pod-
dane pod zwierzchność świecką a ich nowicyaty zamknięte!
Ale po Europie rozchodziło się zato uznanie, że rząd
rossyjski wszedł na drogę koncessyi, że duchem wieku
ogarniony, przykładem Austrii pobudzony, wolności su-
mienia już nie tłumi i żyje w zgodzie z Kościołem!

To dwulicowe, od systemu moskiewskiego nicodzielne
postępowanie trwało lat ośm. Tymczasem w roku zeszłym

posłyszeliśmy, że Papież potwierdził trzech biskupów polskich, a w krótce potem (w Listopadzie) *Gazeta Rządowa Królestwa* ogłosiła konkordat z r. 1847. Mówimy to na wiarę dzienników, bośmy sami tego numeru gazety niewidzieli, i ani jeden egzemplarz jego niebył podobno za granicę wypuszczony. Nie dozwolono także innym dziennikom polskim powtórzyć tego dokumentu. Dlatego, obaczemy zaraz:

Ojciec Śty zawierając w r. 1847 z rządem rosyjskim konkordat, nie tak jak chciał, ale jak mógł, w samym jego wstępie pragnął okazać że uważa rzecz za nieskończoną. « Doszedłszy, mówi ten wstęp, do pewnego rezultatu w przedmiocie kilku punktów, gdy tymczasem pozostają jeszcze inne nad którymi nieprzyszło do zgody, a na które pełnomocnicy JCMości obowiązują się zwrócić znowu uwagę rządu swego, zgodzono się obustronnie, pod zastrzeżeniem sformułowania w oddzielnym akcie punktów mających stanowić przedmiot objaśnień i dalszych negocyacji, aby zapisać w niniejszym protokole pamięć osiągniętych rezultatów a które oczekiwać będą następnego uzupełnienia. »

Ten wstęp, gdzie Papież potyle kroć powtarza że zawarł z rządem rosyjskim konkordat jedynie pod warunkiem dalszych negocyacji, jedynie w nadziei dalszych ulepszeń, w dokumencie z rozkazu Cesarza ogłoszonym, jest opuszczony. Z jakiej przyczyny, tego dzienniki zagraniczne niemogą zrozumieć i dobroduszenie zarzucają *Gazecie Królestwa Polskiego* zbytnią oszczędność miejsca i papieru, przez którą znaczenie umowy z Stolicą Śtą zawartą zostało zmienionem.

Dzisiaj posłyszeć nietrudno że wreszcie Rossya przystępuje do dalszych układów z Rzymem. Już nawet powiadają że przedmiotem narady ma być zmniejszenie liczby dycecyj w Królestwie Polskiem. Ze tego rząd rosyjski może sobie życzyć, pojmujemy. On zgodziłby się nawet aby żadnego katolickiego biskupa w Polsce niebyło! Ale niewierzmy aby kiedykolwiek na to z Stolicą Apostolską stanęła zgoda. Zmniejszać liczbę dycecyj w kraju, gdzie każdy biskup ma pół miliona wiernych, gdzie mu niepodobniestwem jest raz na rok zwiedzić swe parafie, gdzie proboszcz często o 20 i 30 mil jeździć musi do konsystorza, byłoby rzeczą niestosowną w każdym czasie i pod każdym rządem. Ale byłoby nierostropnością, której głowa kościoła niemoże się dopuścić, zmniejszać ją pod rządem, pod którym właśnie zbyt mała ilość biskupów unickich, tak wielkiej klęski stała się powodem.

PRZEGLĄD PISMIENICTWA.

Gdybyśmy się na to zgodzić mogli, że dzieło sztuki ma być tylko prostym dagereotypem życia, gdybyśmy potrafili uwierzyć, że poeta spełnił swe powołanie, jeśli codzienność naszego bytu w wierzytelny nam przedstawił odbiciu, nie wielebyśmy zaprawdę mieli do wyrzucenia utworom pana Korzeniowskiego, a spór wszelki byłby wówczas tak niepożytecznym jak dziecinny, boby się tylko mógł toczyć o mniejszą lub większą dokładność tej lub owej figury albo sytuacji, o statystyczne szczegóły, o różniczkowy rachunek nieskończenie małych rzeczy. Ale nie! Wyobraźnia poety to nie jakaś *camera obscura*,

twórczość mistrza to nie machina do kopiowania. Sztuka ma inne i wznioślejsze zadanie, i wyższe względem niej musimy stawiać wymogi. Jeśli to prawda, że początek jej boży a źródłem jej czyste natchnienie, powinna ona i w nas ten boży pierwiastek budzić i rozwijać, powinna nas natchnąć do uczuć niepowszednich i czynów niepowszednich; a od warunków tych, które są nieprzepartą fatalnością, ale zarazem i prawdziwą godnością wszelkiego artystycznego tworzenia, nie może się uwolnić i romans, jakkolwiek niska jest sfera, w której się obraca i pragmatycznymi koleje które przebiegać musi. Tak przynajmniej rozumieli swe powołanie wszyscy znakomitsi w tym zawodzie pisarze: Georges Sand, Balzac i Sue; Bulwers, Dickens i Thackeray; a u nas Kraszewski. Wszyscy oni, z mniejszem lub większem szczęściem, z mniejszą lub większą trafnością, ale z równą zawsze usilnością podnoszą w swych powieściach jakiś ważny, uniwersalny problem życia, starają się rozwiązać jaką wielką psychologiczną lub moralną zagadkę, i po za analityczne kreślenie codziennego bytu sięgają do mylnie lub dobrze pojętej, lecz zawsze wytrwale ściganej, wyższej syntezy.

Ale takich syntetycznych dążeń, takich idealnych popędów, które jedynie uczyniają i podnoszą dość łatwe rzemiosło powieściopisarza, na próżnobyśmy szukali w utworach pana Korzeniowskiego! Jeśli wolno powtórzyć i cieniować użyte już przez nas określenie, powiedzielibyśmy że w ręku autora *Krewnych* romans jest jeszcze czemś mniej niż *Epopeą status quo*, bo ilustrowaną kroniką jego. A w tej kronice uderza wszędzie rozpaczliwa poziomość natchnienia, sceptyczna rezygnacja na bieg ludzkich rzeczy, ciągle apoteozowanie rozsądku i użyteczności kosztem najdroższych marzeń i najszlachetniejszych uniesień, nieustanne przestrzeganie przed bezpośrednimi, instynktowemi popędami naszej duszy i zalecanie tej miernej cnoty i cnotliwej mierności, które są tylko moralnym proletaryatem ludzkości, i tej umiarkowanej temperatury, którą na termometrze serca oznacza punkt zera między ciepłem uczucia a chłodem rozumu. P. Korzeniowski nie idealizuje ludzkości, nawet w niej nie przebiera: wybiera tylko wśród niej ciekawe, zabawne exemplarze, jak botanik rośliny do swego zielnika; jak botanik je też w swych arkuszach wysusza ze wszystkich żywotnych soków krwi i instynktu, a wielkie i trudne arystotelesowe prawo oczyszczenia namiętności przez sztukę, w ten sobie sposób zazwyczaj ułatwia, że te namiętności zupełnie eliminuje, zostawiając tylko z jednej strony zmysłowe pociągi, które nas rażą, a z drugiej wyrozumowane działania, które nas nie zapalają. Zaden z jego charakterów nie staje się drogim naszemu sercu, nie wkłada się sympatycznie w naszą duszę; każdego z nich witamy bez uniesienia, żegnamy bez żalu. Bo też żadna z tych figur nie jest uniwersalna, żadna drżącemi skrzydły ducha nie szuka swego gniazda daleko od ziemi, żadna tajemną nicią miłości i oliary nie jest związana z losami ogółu. Nie możemy mieć prawdziwego, serdecznego współczucia ani dla ich szczęścia, ani dla ich cierpienia, dla ich cierpienia szczególnie, które albo są indywidualne, jak u Ignacego, albo artystowskie, jak u Eugeniusza; nigdy nie są tym bólem zbiorowym, za myśl i miliony, który jedynie czeka korona, tak w niebie z rąk Boga, jak na ziemi z rąk poezji. Pan Korzeniowski w sztuce nie wznosi się nigdy do myśli ideału, w moralności nigdy do myśli oliary; estetycznie i etycznie brak mu wszelkiego wyższego popędu, wszelkiej podnioslejszej aspiracji. Z Modlitwy Pańskiej jedną tylko zna i umie cenić prośbę: o chleb powszedni; tęsknego westchnienia za Bożem królestwem nie rozumie zgola. Ujemne przepisy Dekalogu są mu dość przytomne; ale zdaje się jakoby nigdy nie przeniknął mistycznej a dodatniej moralności ewangelicznych przypowieści, z których jedną tylko bodaj zapamiętał i tę z niej nieco rozszerzoną wyciągnął naukę: że trzeba Cesarzowi oddać co cesarskiego — a gdy konieczność każe, nawet i trochę z tego co boskie. Tak dobrze z instynktu jak z zasady, jako artysta i jako filozof, lubi on *martwą na-*

ture: a jeśli kiedy nad miniaturowe i miniardowe malowanie wzniesie się do jakiegoś ważniejszego problemu życia, jakżeż go wtedy postawi, w duchu jakiejże to ciasnej, elementarnej, rzeklibyśmy nieledwie wegetalnej moralności go rozwiąże! Wtedy nam każe, jak n. p. w *Tadeuszu Bezimiennym* święcić kobietę, która nie ma odwagi, wnetrności, bronić swego dziecka przed najśroźszem prześladowaniem, przed policzkami własnego brata, chociaż miała sumienie w dom męża wprowadzić ten swój plód cudzozolnego kaprysu! Wtedy, jak w *Spekulancie*, będzie się zachwycał nad siwiejącym Marszałkiem, który poślubiwszy sobie dziecinę wbrew jej woli, wbrew nieszczęśliwej, ale wielkiej, ale silnej miłości, którą chowa w swem dziewiczym sercu: choduje potem i wychowuje w duszącej atmosferze chuchliwej pieczołowitości, w cieplarni wygód, attencyi, edredonów i starań, ten biedny kwiat złamany, i w końcu, jednego poranku, « przez umyślnego » (!!) może dać znać matce, że owoc szczęścia uszczknięty! Wtedy, że do naszych *Krewnych* powrócimy, jako wzór obywatela, jako *ecce homo* społeczeństwa, wystawi takiego hrabiego Adama, który poznawszy i pokochawszy Ignacego, zaprasza go co niedziela do siebie — by w osobnym pokoju rysował z modelów; który na pogrzeb matki swego ulubieńca wyłoży potrzebne pieniądze, ale ani pomyśli o tem, by iść za trumną tej biednej kobiety; który jeden tylko i dość rzadki zna ruch szlachetny ręki do kieszeni: ale zdaje się ani przeczuwać tego, że ruch serca do serca jest czemś nierównie szlachetniejszym!

Albo mamyż nazwać szerokiem rozwiązaniem jakiegoś ważnego problemu życia, to poetyczne ukształcenie losów Ignacego, które pan Korzeniowski wziął za główny temat swej powieści, to przedstawienie szlacheckiego syna, który zostaje stolarzem?... Nie zupełnie! Bo Ignacy to wszystko robi nie dla jakiejś wyższej myśli, dla jakiejś uniwersalnej idei, nie w chęci poświęcenia i ofiary dla interesu ogółu: ale dla samego siebie, dla własnej korzyści, w dobrze zrozumianym, indywidualnym interesie. Ignacy Zabuski szlachcic i stolarz, to nie « *Mirabeau Comte et marchand de draps* » dopominający się praw trzeciego stanu: to sobie tylko prosty, poczciwy *Jérôme Paturot* szukający socyalnej pozycyi; to sobie bardzo porządną i rozsądną młodzieniec, któryby nie opuścił swego szlacheckiego majątku, gdyby ten wystarczał na jego potrzeby; któryby był dotrwał w Kommissyi Skarbu, gdyby się tam mógł spodziewać prędkiego awansu, i który się bierze do stolarstwa, dla tego że mu ten zawód, w obecnem jego położeniu, zdaje się być najbardziej obiecującym. Winszujemy mu tak zdrowego rozsądku i wolności od przesądów; przyklaskujemy jego energii, otrzymanemu zwycięztwu nad wrodzoną nam niedołężnością i mężkiem postanowieniu oparcia się na samym sobie; ale nie czujemy potrzeby się nad nim zachwycać, ale serca i sympatyi naszej dać mu nie jesteśmy w stanie! Bo gdy wchodzi w ten nowy zawód i wiąże się z obcym mu przedtem światem, rozumiej on że względem tego świata ma obowiązki, że z tej warstwy społeczeństwa, która go w swoje łono przyjmuje, nie tylko same jemu wolno wyciągać korzyści, że się jej zadłuża i z tego co ma, jej się wypłacać powinien? Żyje on, stara się on tylko żyć ze swymi nowymi kolegami, z czeladnikami i robotnikami, w jakimś braterstwie wyobrażeń i uczuć; udziela on im coś z tego światła, które mu wychowanie i położenie osiągnąć dozwoliły; usiłuje on podźwignąć ich do swojej wysokości, dać im okruszyny z tego duchowego chleba, którego podobno ma podostatkiem; błyskać choć raz w nim myśl podniesienia tych współpracowników do pojęć szlachetniejszych, piękniejszych?... Nie, bynajmniej! Dla takiej delikatnej moralności, czy dla takiej śmiesznej ideologii nie ma zmysłu ten bohater! « Nie chowaj światła pod korcem » — to już nie przepis policyjnego kodeksu dobrych obyczajów, i p. Korzeniowski nie czuje potrzeby jego zastosowania!

Bez wątpienia, praca wytrwała i mozolna jest jednym z głównych warunków uczciwego i zanego bytu; ener-

gia i hart są oznakami prawdziwie męskiej duszy; oparcie się na samym sobie, wydobywanie z własnego wnętrza wszelkich sił i zasobów, śmiałe walczenie z trudnościami losu wyrabiają w nas szlachetne uczucie niepodległości i godności osobistej, dają człowiekowi przeświadczenie o własnej wartości, są koroną życia prywatnego, pierwszemi podwalinami wszelkiego życia publicznego. Gdyby p. Korzeniowski uosobiwszy wszystkie te przymioty w Ignacym, był mu wznioślejsze trochę naznaczył pobudki i wyższe dał cele; gdyby go natchnął myślą bardziej uniwersalną, aspiracją więcej ogólną; gdyby okazał, że ten młodzieniec tak umiejętnie i wytrwale pilnujący steru swojej biednej łódki, ma jakąś gwiżdżącą przewodną na niebie, i do niej spogląda w górę: jakizby to znaczący, żywotny, pełny poezyi i wpływu był stworzył charakter; jakizby to szlachetny, dobroczynny byłby wzór postawił dla młodzieży, dla naszej właśnie młodzieży, która teraz nie zna prawie środka między beczynnością, na cały świat wyrzekającą, od wszelkiej pracy oderwaną ideałnością, a skrętnym, na wszystko zrezygnowanym, od wszelkich wyższych natchnień i uczuć stroniącym materializmem! Piękniejszego, patryotyczniejszego, bardziej obywatelskiego, gwałtownym potrzebom obecnej chwili bardziej odpowiadającego zadania nie mógł sobie postawić żaden pisarz polski! Ale jest to właśnie midasowym a fatalnym darem naszego autora, że w jego ręku wszystko się przemienia w złoto brzęczącej monety, że wszelki kwiat uczuć uschnąć musi w średniej atmosferze którą zamieszkał! P. Korzeniowski nawet i miłość Ignacego potrafił nam uczynić nieznośną! Bo też nie chłodniejszego, nie mroźniejszego, chociaż i nie rozsądniejszego nad miłość tak stateczną, tak wszystko obrachowującą, a o której jeśli kiedy i gdzie powiedzieć się godzi, że jest tylko egoizmem we dwoju! Naprzeciwko tak rozważnemu, tak zahipotekowanemu uczuciu Ignacego, postawił nasz autor daleko nieroztropniejsze Kańskiego, pocziwego i zabawnego aplikanta, który najłżejszy promyk elatowej pensyi wita jako słońce fortuny i bez namysłu przyspiesza swój ślub z ukochaną istotą, za co później przez ciężkie musi przechodzić koleje. Pan Korzeniowski pewno temu nie uwierzy: ale zaprawdę, ten nierozważny aplikant więcej nas porusza i ujmuje, niż jego statystyczny Ignacy! Na Kańskiego patrzymy jak na młodego, szlachetnego chłopaka, który szalenie grosz swój ofiarui stawia na kartę: ganimy jego postępek, a jednak życzymy mu szczęścia, i pewno nie odejdziemy wprzód, aż się jego los rozstrzygnie. Na Ignacego spoglądamy z tym respektem, którym nas przejmuje widok zatopionego w zawitych cyfrach rachmistrza: odstępujemy go prędko, by mu nie przeszkadzać, pewni zresztą, że doprowadzi do kresu rachubę, której końca doczekać nie mielibyśmy cierpliwości.

I czegoż właściwie chciał dowiedzieć p. Korzeniowski tęp swoim dziełem, jakąż z jego bajki mamy wyciągnąć naukę?... Czy tę, że hebel lepszy jest od pióra i pędzla, że rzemiosło wyższe od sztuki?... Nie odpowiemy na to panu Korzeniowskiemu, że dla harmonijnie wykształconego umysłu, jako też i w harmonijnie ułożonem społeczeństwie, rzemiosło może i powinno mieć także swoją idealną, poetyczną stronę, i że nawzajem sztuka nie jest bynajmniej tylko luźną zabawką, ale bardzo ważnym a bolesnym trudem, bardzo owszem rzetelną acz nie realną funkcją ludzkiego życia. Nie odpowiemy mu nawet, że w każdym razie przykład który o n nam stawia, za dowód służyć nie może; bo Eugeniusz nie jest ani poetą, ani artystą, ale tylko nieznośnym mazgajem. Powiemy mu tylko, że tej pracy mógł sobie zaprawdę oszczędzić; że niepotrzebne podjął zachody koło dowiedzenia rzeczy, o której, niestety, każde dziecko wn aszych czasach aż nadto i prze-mądrze jest przekonaniem; i że wprawdzie bezpieczne ale zbyteczne sobie obrał apostołstwo: nawracania nawróconych! Do święcenia praktycznego celu, do wyniesienia rozsądku kosztem uczucia i wyobraźni, do sławienia tego wszystkiego, co nam robi pozycyją na ziemi bez względu na to, czy też nam daje i miejsce w niebie, — o, do

tego, wszystko nas przecie w obecnych czasach zachęca i nagli, do tego nas gwałtownie pędzi cała parowa siła wieku, i zaprawdę nie potrzeba, by jeszcze i sztuka w ten pchała kierunek, którego nie chybić! Jeśli owszem w takich smutnych czasach sztuka ma jakie powołanie, to chyba tylko przeciwnie; to powinna nas chwilami zatrzymać na tej fatalnej pochyłości; to obowiązkiem jej bronić złotego ideału naprzeciwko żelaznej realności uaszej żelaznej kolei; to zadaniem jej, archanielskimi skrzydłami i mieczem rozpedzać dymne obłoki machin po nad naszymi głowami, by je raz poraz oświecał czysty promień Boga... Precz z marzeniami a górę rozsądek woła nam wciąż autor *Krewnych*! P. Korzeniowski tylko o tym zapominał, że rozsądek najlepiej nawet skierowany, w najlepszym nawet razie, przeszkadza tylko złemu, ale nie tworzy dobrego: dobre tylko tworzą zapał, natchnienie, poświęcenie i ofiara! P. Korzeniowski tylko zapominał, że gdy na jednej szali rozsądku położymy ciężką wagę złota, wszystko na drugiej przybiera łatwo lekkość marzenia: najszlachetniejsze serca popędy, najpiękniejsze duszy zachwyty. P. Korzeniowski tylko zapominał, że są marzenia, z któremi nie tylko żyć miło i można, ale które nawet wielką, integralną część samego życia stanowią, życia prawdziwego, pełnego, tego, dla którego i którym jedynie żyć w istocie warto. Precz z marzeniem, śpiewa ten wieszcz, nieogłębny na chór podły i brutalny, który to hasło odgrzmiewa! Precz z marzeniami, woła ten Polak, niebaczny, jaki kusiciel te słowa powtórzyć i niemi do upadku zachęcić może... Precz z marzeniami!... *Point de réveries!* — Przecież to samo niedawno powiedział Aleksander III...

I tu dotknęliśmy najdrażliwszego ale i najważniejszego punktu naszego sporu, w którym zaprawdę nie chodzi tylko o jakąś kwestyę sztuki, ani nawet teoretycznej moralności, ale o kwestyę praktyczną, realną, żywotną, bo polską! Nie jesteśmy bynajmniej zwolennikami samego, biernego tylko cierpienia i tego tak łatwego zaniknięcia się w idealnej sferze bezczynnego męczeństwa, z próżnym narzekaniem na niemoralność i obojętność Europy, z pogardą dla wszelkich prac poziomych i codziennych, możebnych a koniecznych. Nie liczymy się wcale do tych co myślą, że Polska nierządem publicznym stała, i nierządem prywatnym powstanie, i wiemy bardzo dobrze że kraj nie samym tylko duchowym chlebem żyć może i powinien. Ekonomicznym potrzebom i warunkom istnienia nie zaprzeczamy nigdy u nas prawa bytu i obywatelstwa, i wszelkim usiłowaniom w tym kierunku przysięgając niezawodnie nie będziemy. Ale biada nam, jeśli byśmy na pełnieniu tych zwierzęcych tylko funkcji narodowego życia przestawać mieli; jeśli byśmy tylko o najwygodniejsze, a nie o jak najgodniejsze urządzenie naszych stosunków dbać chcieli; jeśli byśmy pożegnali te «marzenia» które są naszą przeszłością — które są naszą męką i naszą zasługą, naszym krzyżem i naszym odkupieniem! Praktycznym wymaganiom rzeczywistości, staraniom około indywidualnego dobrego bytu, nie odmawiamy ni uwagi ni ważności; ale nie dozwalamy im wyłącznego opowania naszych horyzontów, nie dopuszczamy ich apoteozowania w dziełach uczucia i wyobraźni! Ta kuchenna moralność, bez ofiary, bez natchnienia, jaką p. Korzeniowski naucza w swoich powieściach, a której zupełnie odpowiada ta, jaką Scribe wyklada w swoich komedjach, podkopuje nie tylko ideał sztuki, ale i ideał polski! Prowadzi ona do idealnego nawet uznania *status quo*, do przystania na sromotną obecność; świadomo lub nieświadomo kryje się za nią narodowe odstępstwo! Kto tylko umie czuć i czytać, ten to przystanie znajdzie w każdym z nowych dzieł naszego autora, ten je odgadnie w moralniej patologii charakterów przez niego kreślonych, ten je już będzie podejrzewał w samym artystycznym spokoju, z jakim ten mistrz tworzy. Zarzut któryśmy zrobili wogóle naszemu obecnemu pismnictwu, że na niemi nie widać piętna bólu, że ono nie zdradza w niczym głębokich cierpień Ojczyzny, zarzut ten daje się

przedewszystkiem zastosować do pisarza o którym mowa, do przedmiotów które obiera, i postaci które wywołuje. I niechaj tu nikt nie powie, że niepodobne stawimy żądania, że zapominamy o stosunkach wśród których autor żyje i tworzy! Pamiętamy owszem o tym wszystkim bardzo dobrze, a jednak go rozgrzeszyć nie jesteśmy w stanie. Jesteśmy dosyć wprawieni, by się na nieuczynkowanym nie omylić głosach; więźniowie od tak dawna, rozumiemy znaczenie najbliższego i najgłuchszego stukania, którego nie dosłyszysz lub się nie domyśli nasz dozorca: i znamy niejednego pisarza w kraju, równie ciężkim jak p. Korzeniowski, nierównie cięższym jeszcze ulegającego warunkom, a którego jednak dzieła, inne zupełnie na nas robią wrażenie. Nie ma tam nazwiska drogiego, nie ma tam hasła wyraźnego, ale słyszymy nieraz to drżące, święte westchnienie, «o którym Bóg i naród wiedzą dobrze, że jest dziś Polski imieniem». W powieściach tych autorów widzimy ludzi, którzy mają wszystkiego podostatkiem, mienia i imienia, młodości i zdrowia, przyjaźni a nawet i miłości, a których jednak wesołość odbiega i uciecha nie bawi: i każdy z nas poznaje, że niewypowiedziana przyczyna tego, jest niewypowiedziane cierpienie narodu; każdy z nas w rysach tych ludzi czyta niemy a wymowny ból wieku; każdy z nas rozumie, że oni szczęścia nie mogą znaleźć w domu, bo go nie ma w ojczyźnie... Ale tej mistycznej żalności, tej zamienionej aureoli nie nosi na sobie żadna z figur przez p. Korzeniowskiego kreślonych. One tak wyłącznie sobą i swojemi losami zajęte; one tak rażno i trzeźwo pracują koło swojej fortuny i swojej pozycyi; im tak mało potrzeba do szczęścia, do szczęścia jak najzupełniejszego! Ignacemu brak do tego tylko patentu na majstra i małego kapitaliku; a czego Eugeniuszowi nie dostaje do największej błogości, do najkompletniejszej naprawy zwicznego charakteru i losu, o tem usłyszymy zaraz. Jest w tych *Krewnych* jedna z wybornym humorem opowiedziana scena, w której czeladnik z wymownego kazania cechowego majstra to tylko rozumie, że powinnością człowieka jest wyjść z niewoli Egipskiej, a wyjściem z tej niewoli należy mieć kamienicę w Warszawie. W tym dowcipnym żarcie jest straszna prawda: wszyscy bohaterowie naszego autora są mniej więcej podobni do tego czeladnika. Wyjściem z niewoli Egipskiej znaczy jednemu pojąć wieś, drugiemu powziąć kochankę, innemu postąpić w randze i urzędzie: żadnemu z nich nie znaczy wyjście z niewoli ducha, z męki serdecznej, z jarzma ciemnoców! Nigdzie tu nie widzimy tego wielkiego, cichego, dumnego smutku, o którym mówi poeta; nigdzie nie czujemy narodowego bólu. W powieściach p. Korzeniowskiego świat polski, jak niegdyś izba francuzka, złożony z samych *satisfaits*: tu gdzie tam wszyscy bardzo zadowolenieni, lub tak małym są do zadowolenienia!!

Jak dalece p. Korzeniowski posuwa to godzenie się z obecnością, to przystanie na niewolę egipską: nazwijmy rzecz po imieniu! to narodowe odstępstwo, — dowodzi oburzające zakończenie, które śmiać dać swęj powieści; bezbożna transfiguracja, w której nam okazuje się wreszcie bohater Eugeniusz. Doprowadziwszy go do ostatecznego kresu rozczarowania, postawiwszy go nad samym brzegiem przepaścistego zmarnienia, moralnego znikczemnienia i wyzucia się ze wszelkich instyktów zacności i honoru, pozwala mu znowu autor odzyskać pozycyę i znaczenie, pozwala mu wyjść ze straszego zachwiania, przywraca go do ładu we własnych oczach i ludzkich, do uczucia osobistej godności i wartości, i oddaje mu w nagrodę rękę ulubionej istoty: a cudownym środkiem takiej wielkiej rehabilitacyi jest — służba w wojsku rossyjskiem! Stan ten «czy go pogardzać wykwinłemi wygodami życia, wytrzymać wytrwale w jednostajnej pracy, i opierać się na własnej sile, czego mu właśnie brakowało.» Czytamy listy tego kaukaskiego żołnierza, z których, jak sam p. Korzeniowski powiada, «widać że Eugeniusz opisywał takim szczęśliwym tonem miejsce gdzie się znajduje, ludzi z którymi żyje, służbę którą pełni, nie tylko

dlatego aby krewnych uspokoić, *ale że mu się to wszystko nie podoba*.» Autor upewnia nas dalej że jego bohater *zarów i wesoty*, że go « kaszkiet nie gniecie i munda nie ciśnie »... « a gdy koń jego parska, gdy chorągiewka tyki wiszącej na jego ramieniu igra z wiatrem nad jego głową szumiąc jak skrzydło które go chce unieść od ziemi, czuje się swobodnym jak Farys [jak Farys!, p. Korzeniowski w takim miejscu przypomina poemat tego wielkiego wieszczu tułacza, który w wyprawie przeciwko tym właśnie *pikom i chorągiewkom* dokonał męczeńskiego życia na brzegach Euxynu!]... i rozmarzony, szczęśliwy, marzy o tych wiekach poetycznych, które zna tak dobrze! » Pełniąc sumiennie swe obowiązki, zyskuje Eugeniusz « życzliwość swoich zwierzchników » i szczeni się « kompanią uprzejmych towarzyszy »; a ponieważ szczęście nigdy samo nie przychodzi, udaje mu się raz nawet ocalić życie rosyjskiego generała i drogię jego rodziny, za co go naturalnie nie mijają łaski i awanse, a niebawem też « błyszczą pożądaną szlify na ramionach pięknego bohatera naszego »... I abyśmy się, broń Boże, nie omylili na znaczeniu tej heretyckiej nauki, zaostrza nam ją nasza powieść w drugim niemiłym wymownym przykładzie. Pan Paweł Jelewski marnuje majątek rodzicielski, wpędza swego ojca do grobu, żeni się tylko dla wyłudzenia pieniędzy, i zaraz po ślubie puszcza się w świat, zostawiając list do żony, list obrzydliwy, niepodobny, w którym powiada « że P. Bóg mu to za zasługę porachuje, iż Jego koszlawe dzieło choć raz do swych piersi przycisnął, » i z cynizmem, którego byśmy tu powtórzyć nie śmieli, daje zgóry wieczne błogosławieństwo płodowi zostawionemu w jej łonie!! Ale jeśli autor w tak brudnych [kolorach, i z niezwykłą sobie przesadą odmalował tę osobę, to tylko dla tego, by tem świetniejszą uczynić późniejszą jej transfigurację. Ten sam nikczemnik powraca na końcu powieści oczyszczonym, wybielonym, wolnym wszelkiego kału; jest najlepszym ojcem, najczulszym przyjacielem, prawdziwym dobroczyńcą ludzkości; żeni Ignacego ze swoją córką, obmyśla los Eugeniusza, i, *Deus ex machina*, rozwiązuje wszystkie węzły przeznaczenia ku zadowoleniu wszystkich. A jeśli się spytamy, co dawnego łotra i wisielca mogło przetworzyć w tak zacnego i szlachetnego człowieka: usłyszymy znowu odpowiedź, że zbawienny ten wpływ wywarła służba w wojsku rosyjskiem, w której p. Paweł dostąpił rangi pułkownika, bogactw, *chrestów* i cnoty!!! I tak Jelewski zarówno jak Eugeniusz, służy za dowód, że słońce nam świeci ze Wschodu, a moralność nam przychodzi z Kaukazu...

Więc w taki to Czyściciel przemienia p. Korzeniowski owe Piekło wojskowej służby rosyjskiej, na którego wspomnienie drżą nasze matki i tulą swe dzieci do łona! W taką to Dantejską górę zbawienia przeobraża nam autor *Krewnych*, ów Kaukaz ciemny, do którego Cary od lat tyłu przybijają polskiego Prometeusza! Więc jako szkołę naszej rehabilitacji, przedstawia on nam tę armię Attyłów, która mieści w sobie dwa najokropniejsze barbarzyństwa w świecie: barbarzyństwo dzieci u dołu i barbarzyństwo przekształcenia u góry; której wyżyny są stekiem najwyrafinowanego zepsucia, a podwaliny kolosem bydlęcągo stepienia; w której łupieństwo, okrucieństwa, zapoznanie praw ludzkich i boskich, wależą o prym z pogańską nienawiścią ku wszystkiemu co wolnem, cywilizowanemu i szlachetnem; która jeśli kiedy słyszy o honorze, to chyba gdy mowa o długach karcianych, a jeśli zna jaki heroizm, to chyba ten, który wielki wieszcz nasz nazwał heroizmem niewoli! I czyż p. Korzeniowski tego nie wie, że ta właśnie służba jest najstraszniejszą i najniebezpieczniejszą próbą, przez którą tylko przechodzić może biedna młodzież nasza, i z której tylko rzadcy wychodzą z czystymi obyczajami, z czystym sercem, z czystym sumieniem Polaka? Niechaj się pyta tych męczenników, co z tej piekielnej próby wyszli zwycięzko, a oni mu powiedzą, jaką koszulą Dejaniry był dla ich polskiej duszy ten « mundur co nie gniecie »! Czyż p. Korzeniowski o tem nie pomyślał, co to znaczy dla Polaka być « w uprzejmem towarzy-

stwie » potomków Suwarowów i Drewiczów; zawiesić na swem ramieniu tę « chorągiewkę », która może nie tak zbyt dawno temu po trupach jego braci wlatywała w dyminy się szanice Warszawy; wziąć w rękę tę « pikę » która może przebiła niejedno z niewiniątek Oszmiańskich; dzierżyć ten bagnet, którego ostrze wymierzone zawsze przeciwko sprzymierzeńcom ojczyzny, a w danym razie przeciwko jej synom a własnym braciom? Czyż p. Korzeniowski tego nie rozumie, co to jest dla uciemięzonego służyć w szeregach ciemnicy? Autor *Karpackich Gór*! przecież musiał kiedyś to wszystko czuć i rozumieć!... Z jakim to ogniem, z jaką to siłą umiał wtenczas przedstawić ofiarę poboru, która rzuciła nienawistny mundur i zostaje opryskiem; jakież tragiczne z tego powodu potrafił wywołać sytuacje i sceny, ileż to łez szlachetnych wycisnąć widokiem konającej z bólu matki rekruta, i jego kochanki tonącej w Czeremoszu! Była to wielka, jedyna może chwila prawdziwego natchnienia w długim życiu tego pisarza!...

P. Korzeniowski inaczej teraz te rzeczy uważa; w widzeniach jego zaszła zmiana, której przyczyną zbadywać nie mamy ni prawa, ni potrzeby. Dość, że się pogodził ze smrotną obecnością, i nas z nią godzić widocznie usiłuje; że w swoich powieściach wystawia bohaterów walczących w szeregach wroga, za sprawę wroga; że w koło naszej społeczności, którą maluje, wprowadza, gdzie i jak się tylko da, Moskali, jakby nas chciał z nimi oświcić i pobratuć; że w Tadeuszu Bezimiennym, dziewczęści nawet — *proh pudor!* — kazirodczym i cudzołożnym miłośnikom Polek z rosyjskimi generałami! Musimy tu choć w krótkich słowach wspomnieć o tym, niezbyt także dawno ogłoszonym utworze; bo jeśli nie jaśnieję, to niezawodnie jeszcze jaskrawiej niż w Krewnych odbija się w nim myśl narodowego odstępstwa. Powieść zaczyna się od tego pamiętnego roku, który witał na polskiej ziemi wracające Legiony Dąbrowskiego, który był kolebką i grobem tylu wielkich nadziei, który autorowi innego, i zapewne bardzo odmiennego *Tadeusza*, stał zawsze przed oczyma « jako piękna mara senna, i narodzonemu w niewoli, okutemu w powiciu, jedyną był wiosną w całym mroźnym życiu. » Ale p. Korzeniowski swoje opowiadanie o ten rok Napoleoński wyprawy tylko dlatego zawiązał, by korzystając z częstych w ówczes pochodów wojsk wzdłuż i szerz naszego kraju, ukuć kilkutygodniową intrygę między pięknym « silnym » generałem rosyjskim, « na którego szyi błyskał wysoki znak łaski i dostojenstwa kosztownymi obrysany brylantami », a polską panią, córką wielkiego rodu, żoną zamożnego szlachcica. Mamy potem opis pewnej nocy i pewnej sypialni, nie ustępujący ni w wytworności, ni w wyrafinowanym cynizmie najbardziej ostawionym tego rodzaju obrazom w romansach francuzkich, a w którym wiarołomna żona podrzuca śpiącemu mężowi płód swego bezprawia.... Taki jest początek dzieła; a koniec jego niemiennie hańbiący stawia pomnik drugiej wielkiej dacie naszych dziejów z tego półwieku, powstaniu z 1831 roku. O tej dacie nie wspominają pisarze nasi pod zaborem rosyjskim; i zapewne, nie uroczystsze, nie wymowniejsze nad to pobożne milczenie którem, jak niejedno lud starożytności święte imię swego grodu lub bóstwa, pokrywają ten rok wielki a cudowny! Pan Korzeniowski pierwszy i dotąd jedyny, o ile wiemy, złamał ten święty obyczaj, i wręcz wypowiada że bohater jego powieści uciekłszy ze szkół krzemienieckich, przystąpił « do wojsk powstańczych ». Ale jakżeż to zgrabnie umie tłumaczyć tę płochosć szesnastoletniego dziecięcia, jakżeż prędko mu każe wrócić do upomnienia i skruczy! Tadeusz nie czeka ćwierci wieku na tę sławną amnestję, której peryfrazę w gazetach Warszawskich tak wprawmemu zawdzięczamy pióru; on następnego zaraz roku wraca z emigracji do kraju, gdzie sąd wojenny, łaskawy i w całym znaczeniu tego wyrazu *ojcowski*, każe mu się doświadczać przebaczenia w wojsku kaukazkiem. « W połowie lipca 1834 r. miał już Tadeuszek krzyż, miał porucznikowskie szlify, i gdy poraz pierwszy w nowiuteńkim

mundurze, na dzielnym koniu, prześliczny oficer pokazał się w szwadronie swoim, wszyscy żołnierze krzyknęli uradowani, a oficerowie ściskali go i winszowali sobie takie go kolegi!» Autor apoteozę prowadzi do końca: kula czerkieska «uderza w tę pierś bohaterską», i Tadeusz ginie na polu sławy, na rękę swojej matki, w *bratniem kole oficerów rossyjskich*....

Mamyż objaśnić epopeję, którą o powstaniu polskiem wyśpiewał pisarz polski? Mamyż komentować zawód, który uczniowi szkół Krzemienieckich wytknął tych szkół dawny uczeń i professor? Nie, zaprawdę! Wolimy tu przypomnieć piękne, dumne słowa które niegdyś w *Batorym* wyrzekł nasz autor:

... .. Plakać na bezpiecznym
Brzegu, gdy matka tonie, jest niegodnym
Syna. Właściwe jego miejsce na dnie,
Jeśli jęć nie mógł uratować....

Tak stoicznym, tak łakącym męczeństw był dawniej p. Józef Korzeniowski!! Jakież by wtedy dał imię synowi, który na bezpiecznym brzegu nawet nie płacze, ale sławi piękność tych fal w których tonie matka, i nurty pełne własnego błota, a krwi naszej Ojczyzny, zaleca braciom jako źródło ozdrowienia?... Odwołujemy się od obecnego powieściopisarza do ucznia Czackiego, i od autora *Krewnych* i *Tadeusza Bezimiennego* do twórcy *Karpackich Górali*!

Czytamy w korespondencji *Debatów* ze Stambułu 8 stycznia.

• Sadyk Pasza (generał Czajka) dowodzący naczelnie Kozakami Sutańskimi, otrzymał upoważnienie od Rządu swego uorganizować nowy pułk Kozaków. Wielu, jak się zdaje, oficerów i żołnierzy należących uprzednio do Legii zagranicznej angielskiej, pragnie zaciągnąć się do tegoż pułku.

» Sadyk Pasza, jak zapewniają, zgodził się na propozycję, którą mu Rząd robił, wziąć na siebie straż granic tureckich od strony Grecyi, tem bardziej, że ugodą przed kilkoma laty zawartą, Porta zobowiązała się, dla zapobieżenia rozbojom, zastąpić dotychczasową nieregularną straż Arnautów, wojskiem regularnem. Jakoż Kozacy Sadyk Paszy są nie tylko wojskiem regularnem, ale całkowicie chrześcijańskim, co czyni ich obecność na granicy turecko-greckiej prawdziwie pożyteczną. Sadyk Pasza jest człowiek czynny i pełen energii. »

KRONIKA.

Donieśliśmy w numerze przeszłym o zawiązującym się w Poznaniu Towarzystwie Przyjaciół Nauk, które jak się zdaje, zamyśla nazwę tę nieco zmienić. Napotykamy teraz podobną nowinę dotyczącą innej strony kraju. Korespondent *Kroniki* warszawskiej pisze z Krakowa, że w mieście tem obudza się także ruch literacki i naukowy, już przez pogód jaki mu nadać usiłuje Towarzystwo Naukowe Krakowskie, już i w domowych kółkach, która niespodziewając się zbyt hucznych zabaw w ciągu tej zimy, zaczynają przemysliwać o zorganizowaniu konwersacyjnych wieczorów, gdzieby nie tylko literatura miała swój głos, ale nawet dało się słyszeć odczytanie jakiej powiastki, komedijki lub wierszyk.

Wszelki znak ożywiania się umysłowego w narodzie, jest dla nas bardzo pożądanym, powyższa wiadomość jednak nie przynosi nam radości. Jeśli pogadanki archeologiczne mają znaczyć ruch naukowy a wieczory konwersacyjne ruch literacki, to po obu tych ruchach nie wiele się spodziewamy. Korespondent *Kroniki* dodaje uwagę, że «było się czemkolwiek zainteresować a szczerze, to już dobrze, a cóż dopiero literaturę! Nie przystajemy bezwzględnie na to zdanie. Czasem, interessować się czemkolwiek, choćby najszczerzej, jest wcale niedobrze, kiedy to interessowanie się zaspakaja niesłusznie sumienie, kiedy należałoby interessować się czem innem, albo inaczej. I jakież tu wreszcie interessowanie się literaturą? Społeczność, jak dziennikarstwo w kraju, chce ratować się od czczości codzienną *fejletonem* — nie więcej; ale *fejleton*, to jeszcze nie literatura. W niedostatku hucznych zabaw, szukać lekarstwa

na nudy w towarzyskiem odczytywaniu powiastek, komedyek, wierszów — bardziej godziwie i przyzwoicie; tylko nie trzeba uniać, to jest razem uprawianiem, zasilaniem, protegowaniem literatury. Literatura może przynieść wiele salonom, wpływu zbawionego salonów na literaturę nigdzie jeszcze nie było dowodów. Strzeżmy się w piśmienniczych usłowniach naszych tego, co by ś. p. Witwicki nazwał *lafiryn-dyzmem* umysłowym. Nie jest to pocieszającym znakiem u nas, że zabawa stała się niejako koniecznym środkiem i celem wszystkiego. Literatura przez zabawę i dla zabawy, dobroczynność przez zabawę i dla zabawy — wszędzie zabawa! — Gdybyśmy w rzeczach przynajmniej takiej wagi napotykali raczej wyraz: *obowiązek*, możeby to zgodniej było z naszym położeniem. Tyle co do wzmianki o wieczorach konwersacyjnych; o archeologii zaś pomówimy potem obszerniej.

— Rząd rossyjski zachowując zawsze prawo dosługiwania się szlachectwa dziedzicznego, stara się ciągle drogę tę utrudniać. Cesarz Mikołaj » mając na względzie, że zbyt wiele osób służących w wydziałach tak wojskowym, jak i cywilnym » dostępowało tego przywileju, » w troskliwości swojej o zachowanie praw i prerogatyw wszystkim stanom Państwa nadanych » manifestem z dnia 11 czerwca 1845 roku postanowił, prawo nabywania szlachectwa, podnieść o jedną rangę wyżej, skutkiem czego szlachectwo dziedziczne otrzymywało się w służbie cywilnej za wejściem do klasy 5tej, a w służbie wojskowej za postąpieniem na pierwszy stopień szlaks oficerski. Teraźniejszy Cesarz, » idąc za tym przykładem i dla tychże powodów, uznał sprawiedliwym i dobru ogólnemu zupełnie odpowiednim », prawo tej dosługi przenieść jeszcze wyżej. Przez ukaz więc 9 grudnia r. z. postanowił, że odtąd prawo nabywania szlachectwa dziedzicznego, na mocy rang w służbie otrzymanych, ma służyć tym tylko osobom, które w zawodzie cywilnym dojdą do rangi rzeczywistego radcy stanu, lub do odpowiedniej takowej randze klasy 4tej, a w wojsku do stopnia pólkownika, lub odpowiedniej takowemu rangi kapitana floty klasy 1ej.

— Otrzymali pozwolenie powrotu do Królestwa Polskiego, przebywający we Francji wychodcy: Hieronim Ciemiński — Kasper Piechocki — Franciszek-Stefan Leonard Sojecki — Ludwik Scislicki — Leonard Zdanowicz — Karol Hnicki — Marcelli Nawrocki — Edward Majkowski. Ogółem dotąd 74.

— Cesarz Rossyjski, mając sobie przedstawioną prośbę o ulaskawienie przebywającego w Galicyi Austriackiej wychodcy z gubernii Wołyńskiej Ludwika Steckiego, dozwolił mu powrócić do kraju, z pozwoleniem zamieszkiwania i w Królestwie Polskiem.

DONIESIENIA.

Pan Franciszek Goliszewski zechce zgłosić się do Stanisława Bratkowskiemu, pod adresem: 22, rue Crebillon à Nantes. Powodem do tego wezwania jest rzecz familijna obchodząca p. Goliszewskiego.

— Ziomkowie *Żorawski Józef*, który w r. 1833 był w Lyonie buchalterem w fabryce porcelany, *Jasinski Leonard* rodem z Gaticy i *Strzembosz Michał*, proszeni są w interesie familijnym zgłosić się osobiście lub listownie *franco*, pod adresem: M. Bońkowski, Interprète-Traducteur Juré, près les Cours et Tribunaux de Paris. 247, rue Saint-Honoré.

OD REDAKCYI.

Z numerem dzisiejszym, tym tylko z Szanownych Prenumeratorów dziennik będzie posłał, którzy prenumeratę fr. 5 kwartalnie z góry opłacili. Opóźniający się Prenumeratorowie odbiorą zaległe numera za nadesłaniem kwartalnej należności.

Redaktor, Felix WROBŃSKI.

W drukarni L. MARTINET, przy ulicy Mignon, 2.